

Maria Poprzęcka o obrazach Jacka Damięckiego

Oglądamy wystawę obrazów, których autorem jest architekt. Znamy malujących architektów, ci jednak zazwyczaj pozostawali w świecie bliskich sobie motywów – widoków miast, zabudowań, zabytków, utopijnych projektów i fantazji. Tu natomiast stoimy wobec czystego malarstwa – dużych, pulsujących kolorem, abstrakcyjnych płócien. Ale też wystawa jest spotkaniem z jednym z niezwykłych, a zbyt mało znanych twórców sztuki i architektury polskiej ostatniego półwiecza.

Jacek Damięcki jest postacią całkowicie wyjątkową, całym życiem bezkompromisowo skupioną raczej na myśleniu o architekturze „jako doświadczeniu przestrzeni”, niż na projektowaniu i realizacji konkretnych przedsięwzięć architektonicznych. Artysta całe życie pozostawał postacią niezależną, osobną, nie związaną z żadną pracownią architektoniczną, zawsze pozostającą poza głównymi nurtami działalności architektonicznej.

Jacek Damięcki (ur. 1935) został przypomniany – a raczej odkryty – na wystawie „Makroformy” w warszawskiej Galerii Zachęta (2016/17). W następnym roku jego projekt był prezentowany na wystawie „Amplifikacje natury” w Polskim Pawilonie na Biennale Architektury w Wenecji. Najbardziej znana szerszej publiczności jest niezapomniana makroinstalacja „Chmura”, jaką Damięcki zrealizował na placu Piłsudskiego w Warszawie w 1994 roku. Olbrzymia, wsparta na przemyślanej konstrukcji ciemna płachta łopotała jak gigantyczny żagiel. W tym potężnym łopocie było coś groźnego i zarazem porywającego. Tę, niepodobną do jakichkolwiek pomników, monumentalną, chociaż efemeryczną pracą artysta miał żegnać się z tematem powstania warszawskiego, które przez lata było obecne w rozmowach w jego rodzinnym domu.

Malarstwo nie jest relaksującym „hobby” Damięckiego-architekta, lecz jednym ze sposobów wypowiedzi, po które czasem sięga. Cechująca go absolutna niezależność sprawiała, że nigdy nie czuł się skrupowany jednym medium, ani zamknięty w jednym rodzaju twórczości. Prezentowane na wystawie obrazy powstały bardzo niedawno, od jednego rzutu, jakby na skutek działania nagłego impulsu.

Artysta wrócił do aktywności po złym czasie chorób i słabości. Intensywnie malował we własnego projektu pracowni – ascetycznej samotni, pięknie położonej na skraju nadwiślańskich łęgów. W wysokim, przestronnym wnętrzu obrazy były też odosobnione, wolne od towarzystwa czy konkurencji właściwego artystycznym atelier malowniczego zagracenia. Ich barwne pola swobodnie rozgościły się w pustej przestrzeni.

Wraz z tym uderzeniem nowej, twórczej energii Jacek Damięcki dołączył do – nie tak licznych – grona artystów różnych epok, których twórczość w późnych latach nie tylko trwa, lecz się zmienia, jakby zyskując nowe siły. Ich życie toczy się jakby wbrew naturze, wbrew oczywistemu biologicznemu porządkowi. Zaś twórczość, miast z wiekiem gasnąć, wciąż na nowo się rozpala. Późna starość okazuje się ich latami urodzajnymi. Chociaż nieczęsto, lecz zdarza się, że właśnie wchodzący w późny wiek artyści dają świadectwo „namiętnej i górnej wyobraźni” – jak o „egzystencjalnym paradoksie” pisał poeta William Butler Yeats, utyskujący na starość, jak na ciężar uczepony psiego ogona. Zupełnie jakby osiągnąwszy starość, ci niezwykli artyści odrzucali jej rzekomą równowagę i spokój, chcąc podążyć „korytem rzeki wstecz”. Nie aby odwrócić jej bieg, lecz by stawić opór, nie poddawać się bezwolnie nurtowi.

To nie rezygnacja, przeciwnie – wyzwanie wobec naturalnego biegu rzeczy. Chociaż wiadomo jakim to wyzwanie jest obarczone ryzykiem. W walce „wbrew naturze” ta zwykle zwycięża, przypominając o nieuchronności schyłku i końca życia. Idea twórczego apogeum osiągniętego w starości właśnie

dzięki zarzuceniu rzekomej „równowagi i spokoju”, nie jest nowa. „U artystów najwyższej rangi starość bywa niekiedy okresem, gdy powstają dzieła najczystsze i najbardziej doniosłe, i to, jak się zdaje, właśnie za sprawą naturalnych ułomności podeszłego wieku: gdy słabnie formująca siła, urok zmysłowego kształtowania, niewymuszona uległość wobec danego świata, pozostają już tylko główne linie twórczości, to, co w niej najgłębsze i najbardziej własne” – pisał dawno temu teoretyk kultury Georg Simmel.

Emocjonalną apologię późnej twórczości pozostawił też Kenneth Clark, wieloletni dyrektor londyńskiej National Gallery: „nic bardziej tajemniczego niż moc starego artysty, dającego życie plamie lub rysie”, „farba już nie jest materialną substancją lecz czymś cennym, ulotnym, żywym”, „tylko stary artysta byłby zdolny doświadczenie całego życia zawrzeć w paru barwnych dotknięciach ...”.

Jacek Damięcki, malując swoje nowe obrazy nadal myśli o „doświadczeniu przestrzeni”. Myśli, patrzy i odczuwa. Widzi powietrzny przestwór z innej, horyzontalnej pozycji. Sino-różowy, blady świt, przesłonięty występem muru, dostrzega ze szpitalnego łóżka. „Kiedy człowiek leży na wznak i patrzy prosto przed siebie, niebo okazuje się czymś tak dalece innym, że aż można doznać wstrząsu” – pisała Virginia Woolf o zmianie perspektywy człowieka chorego. Perspektywie zmieniającej postrzeganie i doświadczenie świata. Myślenie o przestrzeni zyskuje inny wymiar.

Patrząc w niebo, Jacek Damięcki chce osiągnąć wzrokiem eteru – z greki wziętego pojęcia oznaczającego górne, czyste powietrze, wyższe rejony niebieskie. Za Arystotelesa uważanego za piąty żywioł. Malarz wpatrując się w świty i zachody, w pierwszy brzask jutrzeńki i gasnące czerwone pasma schyłku dnia, przebija wzrokiem ponadziemskie przestrzenie, by dotrzeć do najczystszej dali. I w swych obrazach dzieli się z nami tym przeżyciem.